

JAM SESSION

AUTOR: MARIUSZ BOGDANOWICZ ZDJĘCIE: TVRTRKO UJEVIĆ

Coś ostatnio poruszam zagadnienia natury ogólnej. Może i dobrze, jak się wyjaśni pryncypia, będzie się można zabrać za szczegóły i teraźniejszość... (ha!)

Dziś może o jam session. Wszyscy wiemy co to takiego. Wspólne muzykowanie, „dla przyjemności”, „po godzinach”, w klubach bądź w prywatnych domach. Tradycja ta zrodziła się w latach dwudziestych/trzydziestych XX wieku. Muzycy grający na co dzień, głównie do tańca, chcieli „wygrać się” do woli i spontanicznie spotykali w tym właśnie celu. Nazwa jam session pochodzi ponoć od tego, że na początku takiego spotkania zjadano słoik dżemu.

Pamiętam, kiedyś w Madrycie pokazano mi Cocolaterię de la Puerta del Sol. Lokal, położony niedaleko słynnego placu, czynny był tylko w nocy. Przychodziła do niego klientela po imprezach i wszelkiego rodzaju zabawie. Idzie o to, że gorąca słodka czekolada po spożyciu większej ilości alkoholu jest swego rodzaju stoperem, sprawia, że mamy już dość wszelkich substancji zawierających procenty i czas na odpoczynek... Chodziłem tam co noc i przyglądałem się korowodowi rozbawionych ludzi. Nadmienię, że moja obecność tam nie była spowodowana wyłącznie walorem poznawczym... Czyżby zatem spożywanie słodkiego dżemu przed wspólnym graniem, po pracy np. w orkiestrze tanecznej, miało taką samą genezę? Nie wiem, ale chyba coś jest na rzeczy.

Dodam jeszcze, że mówimy tu o muzyce jazzowej, która wówczas (lata dwudzieste/trzydzieste) pełniła funkcję muzyki „młodzieżowej”. Jazz był nową sztuką, w której materializowała się kreatywność niepokornych młodych artystów. Na takich „spotkaniach dżemowych” grano powszechnie znane utwory, będące w uchu wszystkich, czyli standardy. Muzyka nie musiała być podporządkowana graniu „pod różkę”. Można było zatem swobodnie rozbudowywać partie improwizowane, zarówno jeśli chodzi o czas ich trwania, jak i o zawartość „merytoryczną”. Wtedy właśnie dokonywał się proces krystalizacji formalnej i adaptacji dla jazzu wielu utworów zaczerpniętych z broadwayowskich musicali i hollywoodzkich filmów. Można by rozwinąć ten temat w kilka stron. Jedną na przykład mogłaby być geneza powstania be bopu, który wyewoluował z takich właśnie grań. Jamy były i są do dziś wylęgarnią nowych stylów i prądów. Nie na tym chciałbym się jednak teraz skoncentrować.

Jeszcze powiem, że jam session jako forma muzycznych spotkań, oryginalnie kojarzone z muzyką jazzową, w późniejszych latach rozprzestrzeniło się na inne gatunki, głównie o bluesowych i rockowych korzeniach.

Ale ad rem, chodzi o to, że jam czy nie jam, muzyka rządzi się zawsze tymi samymi prawami. Musi mieć formę, czyli następujące po sobie, ułożone w logicznym porządku części. Musi mieć dynamikę – forte, piano i różnice między tymi dwoma stanami – crescendo, decrescendo itp. Potem brzmienie, barwę, budowanie napięcia, o podstawowych elementach – melodii, harmonii i rytmie nie wspominając. Świadomość i pamiętanie o tym wszystkim ma wielkie znaczenie, również na jamie, gdy wszystko jest spontaniczne i tworzone ad hoc. Architektura

jest w zasadzie taka sama od lat. Temat, czasem poprzedzony introdukcją i solówką, czyli improwizacje. Wszystko to na jakimś groove. Wydaje się proste, bo i jest proste... Z kilkoma zastrzeżeniami, w zasadzie oczywistymi. Piszę to, przypomnę, jako basista. Z natury rzeczy na basie gra się przez cały utwór, a nie tylko solówkę i ewentualnie temat. Wbrew pozorom ta pozycja zmienia kompletnie całą optykę. Basista bowiem dosłownie „ogarnia” (modne dziś słowo) całość. Jako pełniący rytmiczno-melodyczno-harmoniczną funkcję filar sekcji rytmicznej, basista ma przegląd całej sytuacji, bo dosłownie musi grać cały czas. I gdy na przykład improwizacje są zbyt długie, lub gdy służą jedynie indywidualnym popisom technicznym, granie (i słuchanie!) jest po prostu nudne. Podobnie, gdy nie ma zespołowego budowania formy, dynamiki i napięcia. Tak samo gdy perkusista w balladzie często już po jednym chorusie odkłada miotełki i pałkami przechodzi w double time i już „normalnie” łoś w bębny z całej siły skutecznie wszystkich zagłuszając. Często soliści, zagrawszy swoje zbyt długie sola, nie interesują się tym, co grają koledzy. Bywa, że wręcz odchodzą od sceny, a gdy już wreszcie jest – niezbyt głośne ze swej sonorystycznej natury – solo basu, słyhać ich rozmowy, bynajmniej nie związane z tym, jaki zagrają następny utwór...

Ale może być inaczej. Bywa, że wszyscy się słuchają i biorą udział w całości wydarzenia. Wiem, że piszę truizmy, ale jednak wydaje mi się, że można je czasem przypominać. Jak może być pięknie, gdy sola trwają dokładnie tyle, ile trzeba, gdy improwizującemu soliście towarzyszą wymyślone na poczekaniu rify lub wyimprowizowany kontrapunkt backgroundu. Gdy po kolejnej improwizacji sekcja się ścisza (subito piano), czyniąc w ten sposób miejsce następnemu improwizatorowi. Gdy liryka ballady spełnia się w ciszy i przestrzeni. Pamiętanie o tych wszystkich elementach obowiązuje zawsze i wszędzie, w każdym gatunku muzyki. Powinno być intuicyjne. Jest to możliwe, grałem takie jamy i wszystkim tego życzę. ▀

Mariusz Bogdanowicz

NA STRONIE WWW.MARIUSZBOGDANOWICZ.PL ZNAJDZIECIE ARCHIWUM FELIETONÓW MARIUSZA BOGDANOWICZA OPUBLIKOWANYCH DO TEJ PORY NA ŁAMACH TOPGUITAR.

